

Katalog pustych domów

Z Iwoną Zając rozmawia
Agnieszka Wołodźko

Iwona Zając: *[pokazując zdjęcia]* Tak właśnie wyglądała nasza łazienka po wejściu, to znaczy po tym, jak otworzyliśmy squat. Po prostu totalna destrukcja, porozwalane umywalki, zniszczony sedes, powyrywane krany itd. Robią to pracownicy lokalnego samorządu, do którego należą dane mieszkania. W ten sposób chcą się zabezpieczyć przed squattersami.

Agnieszka Wołodźko: Jak to się stało, że mieszkania są opuszczone? Ludzie się wyprowadzili i nie chcą w nich mieszkać?

Po prostu nie ma na nie chętnych. Prywatne mieszkania są często przetrzymywane, aż wzrośnie cena gruntu. Taką taktykę stosowano na przykład na Dalston, gdzie będzie organizowana olimpiada. Domy zostaną wyburzone, ponieważ tamtedy będzie przebiegać linia kolejki miejskiej. Dlatego część prywatnych właścicieli trzymała pustostany, czekając, aż kiedyś grunt podrożeje i ktoś będzie chciał te działki od nich kupić. Z tego powodu

ani nie wynajmują, ani nie sprzedają mieszkań, nikt ich nie używa.

Od jak dawna mieszkasz na squacie?

Od 2004 roku. Skończyłam malować mural *Stocznia* na ścianie stoczni w Gdańsku i pojechałam do Londynu. W tym czasie był tam już mój chłopak, więc jechałam do niego. To był dla mnie szok, bo dotąd żyłam w biegu, cały czas robiłam różne rzeczy i nagle trafiłam do miejsca, gdzie nie ma prądu ani ciepłej wody, jest zima, no i w ogóle zupełnie inne warunki, inna rzeczywistość. To jest też kwestia wieku. Gdy byłam pierwszy raz w Londynie, miałam dwadzieścia lat, jeździłam stopem, nie miałam pieniędzy, paliłam papierosy wysepione od innych i nie widziałam żadnych problemów. Kiedy pojechałam drugi raz do Anglii w wieku trzydziestu trzech lat, było już inaczej. Nagle zobaczyłam, że jest ogromna bariera językowa, bo nie znałam angielskiego. Miałam ataki paniki, nie mogłam oddychać, bałam się coś powiedzieć, coś kupić. Potem to przełamalam.

Iwona Zając

Ur. w 1971 roku w Gdańsku. Malarka. W 1999 roku ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku. Od 2002 roku rezydentka Kolonii Artystów (obecnie Młode Miasto) na terenie Stoczni Gdańskiej. W swojej twórczości podejmuje problematykę społeczną i feministyczną. Często bohaterką swych prac czyni siebie samą lub przyjaciół. Od 2000 roku zajmuje się malarstwem ściennym. Swoje muralesy pokazywała w Polsce i za granicą. Do najbardziej znanych jej projektów należy Stocznia – seria szablonów na zewnętrznych murach Stoczni Gdańskiej zawierających opowieści stoczniovców związane z ich życiem i pracą (www.stocznia.bzzz.net). W ostatnich latach tematy jej muralesów ogniskują się też wokół rodziny (Mama, Cudzoziemka, On mnie tego nauczył).

Zając od lat współpracuje z Fundacją Theatrum Gedanense, dla której prowadzi warsztaty plastyczne podczas festiwali szekspirowskich, oraz z instytucjami społecznymi jako koordynatorka edukacyjnych projektów artystycznych dla młodzieży (www.mlodazaloga.bzzz.net, www.karandasz.bzzz.net).

Mieszka i pracuje w Gdańsku i Londynie.

Ta pierwsza chata była już w miarę wyremontowana, mieliśmy meble, kuchenkę... Gdy Rafał przyjechał miesiąc wcześniej, niczego tam nie było. Ponieważ nie mieliśmy prądu, kumpel, który jako jedyny w tym czasie miał pracę, brał nasze telefony komórkowe i ładował tam baterie. Pomieszczenia oświetlaliśmy świeczkami. Zaczął się cykl wczesnego wstawania – kiedy robiło się jasno, i szybszego kładzenia się spać – gdy zapadał zmierzch.

Nie płacie czynszu, tak?

Płacimy za wodę, prąd i gaz. Zgłosiliśmy te wszystkie media i używamy ich legalnie. Są oczywiście squaty, które używają prądu nielegalnie, ale jest to jedna z podstaw, żeby policja mogła wejść do takiego domu.

Czy decyzję o zamieszkaniu na squacie podjęliście z przyczyn ekonomicznych?

Tak.

A nie po to, żeby przeżyć przygodę w Londynie?

No, wiesz, ja na pewno wyjechałam do Londynu, żeby odmienić swoje życie. W Gdańsku miałam dom, pracownię, pracę... Nie jestem jednak wielką anarchistką, squatterką. Mój chłopak jest anarchistą i dla niego idea squatów jest bardzo fajna. On się z nią utożsamia i uczy



mnie świata bez pieniędzy. Ja zawsze starałam się nie wydawać dużo pieniędzy, bo ich nie miałam, ale lubiłam sobie coś kupić, jakiś drobiazg. Rafał mnie nauczył, że pieniądze nie są potrzebne. Na przykład zdobywamy pożywienie ze skipów, czyli tego, czego pozbywają się supermarkety albo ludzie handlujący zieleniną. Znajdujemy świeże owoce i warzywa, często dużo lepsze od tych, które mogłam kupić w Polsce. Życie tam jest w ogóle o wiele łatwiejsze.

Stwarzanie domu, wchodzenie do budynku... Ja nie cierpię otwierać budynków. To dla mnie straszna trauma. Natomiast Rafał bardzo to lubi, tę adrenalinę. Pamiętam, że kiedyś właśnie otworzyliśmy dom, gdy nagle zauważyliśmy policję w ogrodzie. Zaraz zaczęła mi nerwowo drgać powieka i zrobiłam się zielona. Rafał potrafi się wyklócać z policją albo z nimi dyskutować. Dla mnie wchodzenie do nowych budynków jest poznawaniem nowego świata i stwarzaniem domu. Zrobiłam się całkowicie niewybredna. Nauczyłam się minimalizować swoje potrzeby: muszę wyczyścić przestrzeń, wyszorować ją, pomalować. Farbę znajdę sobie na ulicy.

A w jaki sposób wyszukujecie te pomieszczenia?

Chodzi się, obserwuje. To jest taki śmieszny nawyk, że nawet, jeśli już ma się gdzie mieszkać, to gdy na spacerze widzi się wolny dom, zaraz się go spisuje. Robimy sobie katalog pustych domów. Teraz jesteśmy już dwa i pół roku w jednym miejscu, ale był taki okres, że zmienialiśmy lokum co miesiąc, więc obserwowanie pustostanów, wkładanie kartek w drzwi, sprawdzanie, czy są śmieci albo listy było na porządku dziennym. Jeżeli kartka znika, to znaczy, że ktoś te drzwi otwiera. Jeśli są listy, to znaczy, że nikt ich nie odbiera. Jeżeli są śmieci – ktoś korzysta z mieszkania, chyba że sąsiedzi wrzucają, bo też tak może być. Później sprawdza się te mieszkania.

Czasami dowiadujemy się o pustych domach od innych squattersów. Tak było w przypadku zupełnie wyludnionego osiedla. Nie wiadomo dokładnie, z jakich przyczyn, pewnie finansowych, ludzie musieli opuścić zupełnie nowe mieszkania. Squattersi zaczęli je zajmować. Były bardzo trudne do zdobycia, ponieważ w całym budynku zainstalowano alarmy i pełno czujników, toteż zaraz przyjechała policja i ochroniarze. Skończyło się tylko na przepychance słownej, bo oni nie mogli wejść do domu. To była chata, gdzie mieliśmy na przykład jakuzzi...

I co, udało wam się tam wprowadzić?

Tak, mieszkaliśmy tam trzy miesiące, a potem znaleźliśmy chatę, w której teraz jesteśmy.

A czemu tamtą musieliście opuścić?

Przegraliśmy sprawę w sądzie. Właściciel wytoczył nam proces, bo taka jest w Anglii procedura. Ale zdarzyło się i tak, że sprawa została rozstrzygnięta na naszą korzyść. Tak się stało w przypadku ostatniego domu. To budynek, który składa się z dwóch mieszkań połączonych ogrodem i mających dwa osobne wejścia. Myśmy otworzyli oba i przyszło wezwanie do sądu dotyczące obu chat. No, ale jest taka organizacja pomocy squattersom – Advisory Service for Squatters – to Anglicy, którzy od lat się tym zajmują, działają społecznie i służą pomocą prawną. Pomagają w pisaniu wniosków i różnych pism, bo sąd inaczej zachowuje się w stosunku do Anglika, a zupełnie inaczej w stosunku do obcokrajowca. To było niesamowite, nasz kolega, który do nich poszedł, dostał różne książki dotyczące prawa w Anglii... Ponadto przeczytał, że jeśli jesteś pierwszy raz w sądzie, przysługuje ci darmowa porada prawna, więc poszedł do adwokata.

Ten pan sprawdził jego papiery i powiedział, że wszystko jest dobrze, a *council* (samorząd lokalny, do którego należy nasz dom) nie ma podstaw nas zaskarżać, bo nie rozwiązał umowy z poprzednią lokatorką. W dodatku później miał chwilę czasu i reprezentował nas w sądzie – prawdziwy angielski prawnik w peruce [śmiech]. Sąd nie mógł powiedzieć, że sprawę przegrywamy, i wyznaczył nowy termin dla *councilu*, żeby ten lepiej się przygotował. Gdy zbliżała się data kolejnej rozprawy, przyszło do nas pismo z *councilu*, że się wycofują. I tak udało nam się obronić jedno mieszkanie.

Tworzycie stałą grupę?

Tak.

... która przenosi się kolejno w nowe miejsca?

Tak, ale mamy też krąg znajomych i nawzajem sobie pomagamy. Jest taka niepisana zasada, że ludzie się wspierają, bo nikt nie chce znaleźć się na ulicy. Jeżeli ktoś znajomy nie ma gdzie mieszkać, Rafał pomaga mu otwierać chatę albo jej strzec. Bo jak otworzysz dom, to musisz go na początku pilnować. Cała zabawa polega

POKÓJ PO REMONCIE, LONDYN STREATHAM

FOT. RAFAŁ ZABŁOCKI, [HTTP://SWIATLAWIELKIEGOMIASTA.BLOGSPOT.COM](http://swiatlawielkiegomiasta.blogspot.com)



na tym, że po wymianie zamków masz klucze i jesteś właścicielem. Jednak gdy nie ma nikogo w domu, może przyjść prawowity właściciel, znowu wymienić zamki i teraz on ma klucze. Są więc dyżury. Nie możesz sobie po pracy gdzieś pójść, czasem musisz wziąć urlop, bo albo chcesz mieć dom albo nie.

Czyli cały czas ktoś musi być w budynku?

Na początku tak. Kiedy osławiasz dom, przez pierwszy miesiąc pilnujesz go dzień w dzień, żeby nie stał ani przez moment sam.

Jak ci się tam mieszka? Jest to komfort czy dyskomfort?

To zależy. Chociaż sprawiam wrażenie osoby dość kontaktowej, tak naprawdę bardzo potrzebuję własnej przestrzeni, w której nikt mi nie przeszkadza. Mam swoje rytuały, z którymi chcę być sama. Czasami jest tak, że chcesz wstać i nie usłyszeć żadnego komentarza. Po prostu wypić sobie herbatę, popatrzeć bezmyślnie w okno. Tam często bywa tak, że jesteśmy na siebie skazani. Kiedy wstajesz, w kuchni już ktoś siedzi. Dla mnie to było trudne. Musiałam przywyknąć do życia wśród ludzi i to nie przez miesiąc, tylko przez lata. Wtedy, co ciekawe, nawiązałam przyjaźnie, których nigdy bym się nie spodziewała.

Z kolei jeśli chodzi o osoby, z którymi dotychczas byłam blisko, życie zweryfikowało nasze relacje. Okazało się, że fajnie było spotkać się na moment, pogadać, ale w sytuacjach ekstremalnych, kiedy się boisz i potrzebujesz wsparcia tego człowieka, możesz się zawieść. Pewnego razu dom był zagrożony i doszło do aktów agresji, pobito parę osób. Wtedy ja i inne dziewczyny po prostu bałyśmy się zostawać same w domu. Kolega w tym czasie wybierał wyjścia na imprezy, bo miał w nosie to, że się bałam. Przekonałam się, że nie można na nim

polegać. Normalnie zawsze świetnie się z nim rozmawiało, było super, ale w tamtym momencie zobaczyłam, że dla niego ważniejsze są inne sprawy, a dla mnie priorytetem jest poczucie bezpieczeństwa. Mam natomiast takie przyjaźnie związane na squacie, które będą już chyba do końca życia.

Fajne jest też to, że na squacie jestem zupełnie inną osobą. Nikt tam się specjalnie nie interesuje moją sztuką. Jestem Iwoną Zajac, a nie artystką Iwoną Zajac. To jest dla mnie bardzo dobre, bo bycie artystką ma swoje obciążenia. Dzięki temu, że poznałam nowych ludzi, mój świat się rozszerzył. Już się nie boję, że mogę zastać budynek w strasznym stanie, bo wiem, że umiem z Rafałem zrobić z każdego domu cacko. Potrafimy podłączyć wodę czy prąd. Wiele się nauczyliśmy, więc to ma też dobre strony.

Czym dla ciebie jest dom?

Pierwsza rzecz, która kojarzy mi się z domem jest taka, że to ja go stworzyłam. Nie chodzi o to, że go zbudowałam, ale wyszorowałam i poznałam każdy kąt. Wtedy wiem, że to teren „obsikany” przeze mnie. Nie jestem sterylną osobą, która utrzymuje idealny porządek, ale wiem, że to są już moje śmieci.

Oczywiście jest problem z poczuciem bezpieczeństwa. Często jest tak, że gdy wracam z pracy, zastanawiam się, czy ktoś nam się nie wbił na chatę. Nigdy tego nie wiem do końca. Dlatego staram się nie trzymać w domu sprzętu, z komputerem jeżdżę do pracy. Mimo to traktuję squat jak dom, dbam o niego, nie pozwalam wchodzić intruzom. Wcześniej zdarzało nam się mieszkać z przypadkowymi ludźmi, którzy nie mieli lokum i zwracali się do nas z prośbą o pomoc. Zauważyliśmy jednak, i to zadziwiało swoją powtarzalnością, że ponieważ oni nie musieli włożyć wysiłku w powstanie domu, traktowali squat jak rodzaj imprezowni.

Dlatego stworzyliśmy kodeks, który chroni nas przed takimi sytuacjami. Jeżeli kogoś zapraszamy, to jest na zasadach gościa, a gość nie może sprowadzać innych. Jeśli gość nam się nie spodoba, dajemy mu miesiąc na znalezienie nowego domu.

Bardzo ważne są poczucie bezpieczeństwa i możliwość jasnego wyznaczania granic. Mam dużo uczniów i część z nich chce przyjechać do Londynu. Mówię: „Niestety, nie przenocuję cię, bo dom to jest dom. Jak ja bym cię przenocowała, to czułabym się zobowiązana przyjąć następną osobę. Mogę ci pomóc, udzielić wszystkich rad, ale do domu cię nie wpuszczę”.

Jakimi wartościami się kierujesz, organizując przestrzeń mieszkalną?

Ha, to śmieszna historia. Szczególnie duży wpływ na moją obecną przestrzeń mieszkalną miało bardzo małe zwierzątko – pluskwa. Wcześniejsze nasze domy miały dużo szablonów, były kolorowe. Nie cierpiałam farby olejnej. Zdarzało się, że squaty, w których mieszkaliśmy, miały dziury w ścianach, a ponieważ nie mieliśmy cegieł, to upychaliśmy materace, wieszaliśmy piękny materiał kupiony

za grosze. Ale okazało się, że pluskwa uwielbia materiały, książki, drewno, cegłę i moją krew. To bardzo wierne stworzenie – wybiera sobie jakąś osobę i jej nie odstępuje [*śmiech*]. Taka sytuacja siada na psychikę: budzisz się (one zaczynają żerować w nocy) i zaczynasz obserwować nadejście przeciwnika. Musieliśmy opuścić pokój, w którym mieszkaliśmy. Pomimo prób walki o tę przestrzeń okazało się, że nie damy rady, bo one chowają się w ceglach. Zeszliśmy na dół, do kolejnego mieszkania, gdzie zdarliśmy tapety i pomalowaliśmy ściany na biało, wszystkie elementy drewniane białą olejnicą, a silikonem zatkaliśmy każdą szparkę. Tak więc teraz pokój, w którym mieszkamy w Londynie jest po prostu biały. Wcześniej nie lubiłam tego koloru, a pokochałam go dzięki insektowi. Wszystkie rzeczy trzymamy w plastikowych kontenerach. Nie ma już żadnych szablonów na ścianach, ponieważ te wzory powodowały, że nie widziałam, czy one nadchodzą. Zminimalizowałam ilość rzeczy. Bardzo ważnym sprzętem stała się zamrażarka, bo pluskwy giną pod wpływem zimna.

Odnawiamy to mieszkanie dość regularnie, malujemy pokój, żeby był czysty. Mamy bardzo mało elementów drewnianych,

Tradycja squatów ma w Anglii długą historię i datuje się od XIV wieku. W czasach współczesnych ruch squattersów nasilił się za rządów Margaret Thatcher w związku z nagłym wzrostem bezrobocia. Obecnie prawodawstwo brytyjskie toleruje squaty w budynkach prywatnych (w których od dłuższego czasu brakuje widocznych oznak zamieszkiwania), opuszczonych lokalach komunalnych (między innymi tych, z których mieszkańców wysiedlono z uwagi na konieczność przeprowadzenia remontu bądź rozbiórki), opuszczonych pubach, małych fabrykach, biurach i sklepach, pod warunkiem, że nie stają się one miejscem dystrybucji narkotyków. Właściciel nieruchomości, jeśli chce usunąć mieszkańców squatu, musi wystąpić na drogę sądową – informacje za *Squatters' Handbook, Advisory Service for Squatters*, Londyn 2004.

tylko stół i krzesło. Dawniej lubiłam drewno, a teraz pokochałam plastik, za którym kiedyś nie przepadałam... Tak więc, jak widzisz, moje gusta zmieniły się pod wpływem pluskwy. Teraz, gdy przyjeżdżam do Gdańska, wszystko wkładam do zamrażarki. Nauczyłam się pakować rzeczy w plastikowe worki. To jest bardzo ciekawe doświadczenie, które radykalnie zmieniło mój sposób funkcjonowania.

Raz zdarzyło się tak, że pomimo wszelkich starań przewiozłam pluskwę do Gdańska. Pogryzła mnie w samolocie, więc już na lotnisku wszystko pakowałam do worków. Kiedy przyjechałam do domu, zrobiłam pełną dezynfekcję. Jednak potem moja mama stwierdziła, że chyba coś ją gryzie. To było straszne. Dom moich rodziców z tymi wszystkimi materiałami, obrusami, pościelą, meblami... W Londynie znajdujemy wszystko na ulicy i nie jest to dla nas dramat, gdy te rzeczy tracimy, bo wiemy, że znajdziemy nowe, ale dla moich rodziców to jest dorobek całego życia. Poszły wory, jeden za drugim, wyrzucanie ciuchów... Teraz jest tak, że gdy wybieram się do domu, wszystkie rzeczy, książki i tak dalej, najpierw ładuję w zamrażarkę.

Jakie przedmioty są w domu niezbędne?

Materac i stół. Miałam lokum, w którym nie było stołu, ale bardzo się źle z tym czułam. Mówię o jednym pokoju, bo do niego ograniczam dom. Poza tym, oczywiście, musi być łazienka z ciepłą wodą i kuchenka.

Czy ważne jest, żeby dom był czymś niezmiennym? Może w twoim przypadku to jest przewrotne pytanie, bo często się przenosisz, ale czy to ci dokucza?

Musiałam się tego nauczyć. Już wcześniej, wyprowadzając się z domu od rodziców, nauczyłam się żyć z małą ilością przedmiotów.

Gdy zamieszkałam z koleżanką w Sopocie... Ona miała strasznie dużo rzeczy. W pokoju, w którym ja mieszkalam, było mnóstwo bibelotów pozawieszanych na wstążeczkach, suszonych pomarańczy itd. Nie mogłam tego znieść i dopiero gdy ona wyjechała na święta wielkanocne, to wreszcie mogłam oczyścić pokój z wszystkich drobiazgów. Na pewno nie jestem gadżeciarą. Kiedyś miałam w sobie coś ze zbieracza, kiedyś całe nasze pokolenie zbierało puszki po napojach, opakowania po czekoladach czy puste pojemniki po zagranicznych szamponach [*śmiech*]. Wtedy mój brat powiedział: „Będiesz jak tata”. A mój tata jest zbieraczem. Wtedy zaczęłam ograniczać to, co mam. Z tego powodu również zaczęłam malować murale, bo murów mi nie szkoda, nawet jeśli ktoś później zamaluje moją pracę, a gdy rośnie mi sterta obrazów, które pokrywają się kurzem, i rolki rysunków, które ulegają uszkodzeniom, to jestem chora. Wolę to rozdać.

Czy przywiązujesz wagę do otoczenia? Czy starasz się wystylizować miejsce, w którym mieszkasz?

Czasami wprowadzaliśmy się na squat tylko na miesiąc albo półtora, a jednak nawet wtedy sprawą strasznie ważną dla mnie było zrobienie z tego miejsca domu, czyli pomalowanie go, zawieszenie w nim lampek czy obrazka. Często widziałam, jak ludzie wchodzili do mieszkań i tylko tam spali... Dla mnie było nie do pomyślenia, żeby nie stworzyć tej przestrzeni na nowo. Przecież będę spędzać w niej czas. Uwielbiam patrzeć na równo pomalowane ściany. To są moje natręstwa [*śmiech*]. Musi być równo, nie może być zacieków na suficie. Ktoś, kto tu przychodzi, może nawet nie zauważyć, że wyszorowałam wszystko na kolanach, natomiast mnie to daje totalne poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia.

Czy myślisz, że długo będziesz bytować w ten sposób? Chciałabyś zmienić formę zamieszkiwania?

Oczywiście. Marzę o takim domu, który będzie naprawdę nasz. Chcę, byśmy stworzyli z Rafałem ekologiczny dom z bateriami słonecznymi na dachu. Rafał mówi, że jeszcze będziemy uprawiać ziemię [śmiech].

Kiedyś jechaliśmy autobusem do Londynu. Zawsze, gdy wracamy z wakacji, zadajemy sobie pytanie, czy w domu wszystko dobrze. Raz nasz kolega zażartował sobie i wysłał do nas SMS, że następnego dnia mamy eksmisję. To był taki absurdalny SMS. On przypuszczał, że tego nie łykniemy. Jechaliśmy całą dobę i mieliśmy czas na rozmyślanie. Nagle zdałam sobie sprawę, że znów jestem bez dachu nad głową.

Plakałam cały czas. Zimno, wychodziłam z autobusu w czasie przerw i myślałam: „Boże, znów jestem bezdomna”.

Pytanie o dom jest dla mnie cały czas jedną z podstawowych kwestii. I marzę o tym, żebyśmy już mieli swój własny. Na razie zbieramy na niego pieniądze, ale nie widzimy możliwości utrzymania go. Ja nie chcę wracać do wcześniej wykonywanej pracy instruktorki plastyki, w której dostawałam co miesiąc wypłatę za prowadzenie zajęć plastycznych. Póki co wolę pracować w kawiarni i robić niezależne projekty. Rafał ma taki pomysł, że gdy będziemy mieli dom, to ponieważ nie potrzebujemy dużo pieniędzy, on będzie jeździł na kilka miesięcy do Finlandii i pracował tam jako spawacz – te zarobki wystarczą nam na cały rok. Nie wiem, jak to będzie. To są nasze *idées fixe*. A jak to się wszystko ułoży? – nie mam pojęcia.



FOT. RAFAŁ ZABŁOCKI, [HTTP://SWIATLAWIELKIEGOMASTA.BLOGSPOT.COM](http://swiatlawielkiegomasta.blogspot.com)

OGRÓD PRZY DOMU, LONDYN, STREATHAM